



PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor:
X. Stanisław Ciążyński
w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich.

Bezpłatne dodatki:
„Dom Rodzinny“, „Słowo Boże“ i „Opiekun Dziełek“.

Adres do wszelkich przesyłek
„Przewodnik Katolicki“
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki“ w ekspedycji i w agencjach miejscowych 420 mk., na pocztę, w agencjach zamiejscowych lub pod opaską 500 m. — Cena ogłoszeń 80 mk. za milimetr.

Nr. 41.

Poznań, dnia 8 października 1922 roku.

Rok XXVIII.

Z przeszłych doświadczeń.

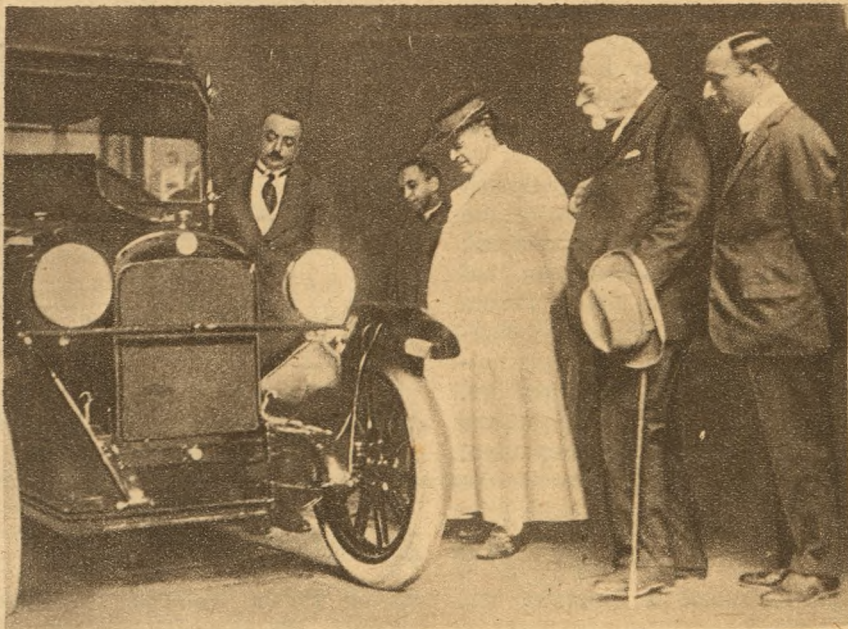
Ramiętna to była chwila, kiedy przed kilku laty zebrał się po wiekowej przeszłości niewoli narodu pierwszy Sejm Ustawodawczy w Warszawie. Z biciem serca czekał każdy Polak na tę chwilę, w której polski i wolny sejm powitać miał cudem Opatrzności Bożej do nowego życia powołaną Matkę-Ojczyznę. Opadły z niej okowy; sejm miał jej do ręki włożyć berło praworządności a na skroń djałem wolności i panowania. Naród cały, wszystkie jego warstwy zrozumiały wtedy majestat chwili. Otwarcie sejmu było uroczystym świętem dla wszystkich synów Ojczyzny bez względu na ich przynależność partyjną. Wszystkie serca polskie ożywiała jedna myśl: służyć Ojczyźnie według najlepszego swego rozumienia tej służby.

Powitalne posypały się artykuły w gazetach polskich. W jednym piśmie katolickim czytaliśmy wtedy: „Nie ma obawy, że z tej naszej narodowej rezurekcji usuniemy Chrystusa... kiedy najwyższy dziś trybunał świata w Paryżu, kiedy różne ościennych ludów konstytuanty rozpoczynają swe rady tak jakby zapomnieli, że jest nad nimi Pan narodów, my dzięki Bogu, wступujemy na nowe życie w Imię Pańskie stwierdzając jeszcze raz religijność naszego narodowego ducha, bo Polska zawsze wierna.“

Dziś po czterech prawie latach z żalem stwierdzić należy, że Sejm Ustawodawczy nie spełnił naszych nadziei jako Polaków-katolików.

Większość posłów przy uchwalaniu konstytucji z religii naszej świętej, rzymsko-katolickiej zrobiła „wyznanie“ równouprawnione z luterstwem i żydostwem; usunęła przepis, że prezydent państwa winien być Polakiem-katolikiem, nie dopuściła do zagwarantowania w konstytucji, iż dzieci katolików tylko przez katolików mogą być wychowywane, nie załatwiła ważnej sprawy konkordatu ze Stolicą Apostolską,

choć go zawarły po rewolucji już prawie wszystkie państwa, nawet schizmatyczna Jugosławia. Ponadto Sejm dość często stawał się areną nienawistnych ataków przeciwko Kościołowi, Biskupom i duchowieństwu. Dość wspomnieć owe oszczerstwa, które miały jednego z zasłużonych Pasterzy poniżyć i zniesławić w oczach ludu, owe smutnej pamięci napędy na Episkopat polski z powodu wydania listu pasterskiego o małżeństwie i w obradach nad wnioskiem w sprawie patronatów parafialnych.



Sennecke.

Ojciec św. Pius XI ogląda samochód ofiarowany Stolicą Apostolską.

A jaki będzie sejm przyszły? Lepszy czy gorszy? Od nas to zależy, od społeczeństwa katolickiego. Wybór posłów do sejmu to wielkie prawo, ale i wielki i odpowiedzialny obowiązek. Oby każdy Polak-katolik czując ciężar odpowiedzialności nie tylko przed narodem, ale i przed Bogiem, spełnił swój obowiązek, wyborcy tak, jak tego domaga się jego sumienie katolickie. A wtedy nowi wybrańcy narodu nie zdradzą tego, co jest najważniejszym w życiu społeczeństwa polskiego: wiary katolickiej i jej świętych zasad

KOGO NIE WYBIERAĆ?

1°. Nigdy i pod żadnym warunkiem nie godzi się i nie wolno nam wybierać na posłów takich kandydatów, którzy znani są jako niedowiarkowie, dla których niema nic świętego na świecie, albo takich, którzy chcieliby — jak się mówi — ofiarować Bogu świeczkę a diabłu ogarek, którzy źle, wrogo usposobieni są do Kościoła katolickiego i jego niezmiennej nauki.

Złymi prawodawcami staliby się ci kandydaci na posłów, którzy nie wierzą w Boga, w pierwszego i najwyższego prawodawcę, lub zwalczają pierwszą powagę i władzę, którą na ziemi jest Kościół Chrystusowy katolicki. Tak samo katolik nie będzie wybierał kandydatów, którzy wysunięci są przez partje wrogie religji i Kościołowi.

Wiemy z historii, że dzisiejsze parlamenty nie trzymają się granic wytyczonego im prawa, ale mieszają się i do spraw religijnych obchodzących głównie, jak np. nierozzerwalności węzła małżeństwa chrześcijańskiego, wychowania religijnego młodzieży, kultu religijnego na zewnątrz, np. odbywania procesyj publicznych, zanoszenia Wiatyku chorym i t. p.

Cóżbyśmy powiedzieli o trzodzie, której pieczę powierzono wilkom? Rzeklibyśmy, że to nieszczęśliwa owczarnia, bo ją wilki w części zjedzą. Owóż to samo trzebaby powiedzieć o narodzie, na którego straży stanęliby ludzie odarci z wszelkich uczuć i zasad religijnych. Francja dawniejsza bardzo wymownie poucza nas o tem!

2°. Nie należy wybierać takich kandydatów, którzy nie wiedzą, jak wielką zaletą i cnotą obywatelską jest łączność, solidarność, zgoda, a którzy sieją nienawiść wzajemną i głoszą hasło walki klasowej. Starzy, pogańscy Rzymianie mówili: zgodą małe rzeczy rosną w wielkie, niezgodą i największe rozpadają się w gruzy — czyli, jak mówi nasze przysłowie: zgoda buduje, niezgoda wszystko burzy.

Kiedy pewien ojciec umierał, zawezwał trzech swoich synów do siebie, a podawszy im związane pręty, rozkazał najmłodszemu, aby te pręty przełamał. Ale nie mógł ich przełamać ani najmłodszy syn, ani średni, ani nawet najstarszy, bo pręty były razem związane. Kiedy się dosyć namęczyli, ojciec, wyciągnawszy jeden tylko pręcik z wiązanki, podał go najmłodszemu synowi, a ten z łatwością przełamał go. Wówczas ojciec odezwał się do wszystkich: Synowie moi kochani! to jest ostatnia moja nauka, jaką wam

daję ja, wasz umierający ojciec: życie w jedności i zgodzie, a żadna siła nie przemoże was tak, jak żaden z was nie złamie tych razem związanych prętów.

3°. Nie należy wybierać takich kandydatów, którzy wprawdzie uznają konieczność solidarności, zgodę w rzeczach całą Polskę obchodzących, ale którzy nie posiadają potrzebnej wiedzy i znajomości praw. Gdyby oni byli ludźmi sumiennymi, pamiętaliby na ścisły rachunek, jaki kiedyś będą musieli złożyć przed Sędzią sprawiedliwym za wzięcie na swe barki tak ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku, jakim jest należyte sprawowanie urzędu poselskiego. Nie mogą się też ludzi, że te braki uzupełnią w czasie posłowania, bo Sejm i Senat nie są szkołą lub jakimś ludowym uniwersytetem, ale areną, na której poseł musi pokazać, co umie, a osobliwie w przeróżnych komisjach, w których ze znajomością rzeczy mówi się i rozprawia o bardzo ważnych zagadnieniach, obchodzących cały kraj, a które omówione w komisjach, idą pod uchwałę pełnej izby poselskiej.

Zrozumiał to dobrze ongi włościanin I. Bielawski, który posłował do dumy rosyjskiej z gubernji kieleckiej. W liście umieszczonym przezeń w narodowo-demokratycznym Narodzie, wychodzącym w Warszawie, tłumaczył włościanom, jak wielkich zalet charakteru i umysłu, jak wysokiego wykształcenia i wyrobienia politycznego wymaga posłowanie i radzi włościanom z Królestwa, aby do posłowania się nie rwali. „Wybraniec narodu — mówi ów włościanin — musi posiadać gruntowną wiedzę w takich dziedzinach nauk, jak: prawodawstwo krajowe, ekonomja, historia... Otóż nas włościan na to nie stać; powiem więcej: i wśród naszej inteligencji mniej jest takich znawców niżby się zdawało. Nas stać na dusze czyste i serca szlachetne, kochające Ojczyznę z tą mocą, co z głębi uprawianej od tyłu pokoleń ziemi dostało się do serc naszych i zrosło się z całą naszą istotą. Więcej nikt od nas wymagać nie ma prawa, a na dziś więcej dać nie możemy“.)

Omega.

1) Naturalnie nie wolno wykluczać kandydatów ze stanu włościańskiego i robotniczego. Powinni jednak być mądrymi i pojmującymi ważność urzędu poselskiego

List Polaka z Ameryki.

Pewien Ksiądz Proboszcz otrzymał z Ameryki list, który pięknie zawiera myśli i nauki.

Bay City, Michigan, dn. 25. lipca 1922.

Wielebny Księżu Proboszczu!

List odebrałem i serdecznie zań dziękuję. Zaraz nie odpisałem, bo czekałem na sposobność a po drugie byłem poważnie chory. Dziś mam więcej czasu i dla tego pragnę wiele opisać Księdzu Dobrodziejowi. Choć jestem już od 40 lat w Ameryce, o Polsce ciągle myślę i jestem tam wciąż z Wami, czuję się Polakiem, bo kocham tę Polskę naszą. A ty Polsko kochana tak tam cierpieć musisz. Socjaliści, Żydzi, Niemcy i zepsuci Polacy, brużdżą. Oj źle w tej Polsce. Myślny tu w Ameryce myśleli, że ta Polska będzie czysto katolicką, a inaczej się stało. My Polacy w Ameryce od początku wojny pracowali otwarcie nad odbudo-

waniem Polski, wolałiśmy o pomoc dla Polski do całego świata. Nie szczydziłiśmy pieniędzy, posyłałiśmy własnych synów do walki przeciw Niemcom, a wszystko czyniłiśmy dla tej ukochanej Ojczyzny naszej. Wyście tam pod panowaniem obcem nie mogli tyle czynić dla Polski, co my tu w wolnym kraju; kiedy bolszewicy mieli Wam zabrać Warszawę, była to u nas niedziela, tośmy z soboty na niedzielę całą noc spać nie mogli. Co się stanie, mówiliłiśmy, jutro z naszą Warszawą? Przyszła niedziela. Jedni leżą z ciekawości do miasta, do telegrafów, które nadchodzą co 10 minut i tysiące ludzi obstąpiło pocztę z ciekawości, co się stanie z Warszawą. Poczem wszyscy poszliłiśmy do kościoła a tu dzwony biją, w 10 minutach kościół pełen, lud polski modlił się na głos do Boga. Przychodzi nasz Ks. Proboszcz Ks. Krakowski, wchodzi na ambonę, nie może mówić od płaczu, on płacze, cały naród płacze, a Ks. Pro-

Boszcz woła do narodu: „Bracia Kochani, może teraz w tej minucie bolszewicy odbierają nam naszą Warszawę“. Ks. Proboszcz odwraca się do ołtarza i woła: „Tam jest Bóg“ i wzywa z narodem pomocy Boga, i Matki Najśw. A tu nasze siostry czyli zakonnice idą z dziećmi szkolnymi do kościoła. 20 zakonnice prowadzą do kościoła 12 set dzieci ze złożonymi rękoma. Te dzieci na głos w kościele wołały o pomoc do Boga i do M. Boskiej i o uratowanie Warszawy. Bóg obronił Warszawę. A teraz u Was niezgoda, klótnie. Wy tam nie możecie zrozumieć, co Wam

brakuje. Wam Polakom-Katolikom brak zgody i jedności w walce z wrogiem. Wołać trzeba do narodu, aby się odmienił i zwrócił do Boga o pomoc, do Ducha św., do Dzieciątka Jezus, bo sami bez Boga nic nie zdołacie uczynić. Jeżeli w zwartym szeregu nie pójdziecie do urny wyborczej to socjaliści i ich poplecznicy Was opanują, a Kościół i Wy cierpieć będziecie. Tak chętnie chciałbym głosować z Wami, ale to rzeczą niemożliwą. Kończę mój list i jeszcze raz serdecznie Ciebie pozdrawiam Czcigodny Ks. Proboszczu i całą parafią.

Józef Staszyński.

CZYBY WYJĄTKI?

Widzieliśmy w ostatnim artykule pod tytułem „Boskie orzeczenie“, że według nauki boskiego Zbawiciela i Tradycji chrześcijańskiej rozwód w małżeństwie chrześcijańskim jest niedopuszczalny nawet wtenczas, gdy jeden z małżonków dopuści się wiarołomstwa. Czy jednak z tej ogólnej reguły niema żadnego wyjątku? Czy Kościół katolicki wtenczas, gdy chodzi o książąt i bogaczy, którzy umieją dobrze zabiegać i płacić, nie odstępował od tej reguły i nie daje im rozwodu? Gdyby tak było, Kościół św. sprzeniewierzyłby się w haniebnym sposób Bogu, bo sprzedałby i zmienił za pieniądze naukę Bożą. Każdy, kto zna trochę bliżej historię Kościoła katolickiego, wie dobrze, że właśnie odwrotnie często się działo. Kościół św. nie tylko nie dał nikomu rozwodu, by korzystać mieć z tego pieniędzy lub inna, ale wołał raczej ponieść największe szkody, byle tylko na krok nie odstąpić od nauki Chrystusowej w sprawie małżeństwa. Wspomnę tylko o najwięcej znanym przypadku, to jest o staraniach rozwodowych króla angielskiego, Henryka VIII. Król ten przez lat 17 żył w małżeństwie z Katarzyną aragońską. Nagle zapalił się grzeszną miłością do wyuzdanej damy dworskiej Anny Boleyn. Chcąc ją poślubić, zażądał od papieża unieważnienia swego małżeństwa z Katarzyną. Ale papież nie ustąpił i rozwodu królowi nie udzielił, gdyż po dokładnem zbadaniu poznał, że pierwsze małżeństwo króla było prawnie zawarte i dokonane. Co się wskutek tego z Anglią całą stało, wszystkim dobrze wiadomo. Henryk VIII odpadł od Kościoła i kraj swój cały pociągnął za sobą w odszczepieństwo i herezję. Do dziś dnia Anglią trwa w tym smutnym stanie. Ale Kościół wołał ponieść tę niepowetowaną szkodę, aniżeli stać się niewiernym nauce Chrystusowej. Bo w oczach Kościoła są małżeństwa królów i bogaczy takie same, jak małżeństwa wieśniaków i żebraków. Kościół św. nie zna tu dwójakiej miary. Zupełnie inaczej postępował Marcin Luter i inni heretycy protestancy. By sobie zapewnić pomoc możliwych tego świata, Luter nietylko godził się na wielożenstwo, to jest, że pozwolił mężowi zaślubić więcej żon, niż jedną, ale dopuszczał także rozwody z dwóch przyczyn, a mianowicie dla wiarołomstwa i dla złośliwego porzucenia. Uczeń lutersej z czasem liczbę tych przyczyn rozwodowych znacznie powiększył. I niema się co dziwić, skoro zważymy, że Luter i jego wyznawcy nie uznają małżeństwa za jeden z Sakramentów św., ale tylko za zwyczajny kontrakt, zawarty przed urzędnikiem stanu cywilnego. Z pewnych powodów, uznanych przez państwo, można go więc zrywać, jak każdy inny kontrakt czysto naturalny.

Jeżeli przeto Kościół św. ani joty jednej z nauk Chrystusowej o małżeństwie nie zmienił i nie uronił,

ale tej nauki bronił zawsze nieugięcie, to czemuże tłumaczyć tak nierozsądny i złośliwy zarzut, że Kościół dla bogatych jednak czasem robi wyjątki? Trzeba to temu tłumaczyć, że zarzut ten ma pewne pozory prawdy, gdyż zachodzą niejednokrotnie przypadki, które dla niewtajemniczonych wyglądają tak, jak gdyby Kościół raz po raz udzielał rozwodu. Zaraz te przypadki wymienimy. Oto związek małżeński może być zawarty nieważnie.

Kościół św., któremu Bóg powierzył zarząd nad Sakramentami św., ustanowił różne przeszkody małżeńskie istotne czyli unieważniające. Jest bowiem rzeczą jasną, że aby dwie osoby mogły się pobrać, muszą być wolne i do tego zdolne. Nie są zaś wolne, gdy na przykład zawarły już małżeństwo z inną osobą, choć o tem na miejscu nikt na razie nie wie; albo gdy rodzice córkę przymuszają gwałtem do małżeństwa. Nie są znów zdolne, gdy nie mogą spełnić powinności małżeńskiej albo gdy są w pewnym stopniu ze sobą spokrewnione lub spowinowaczone i t. p. Jeżeli więc jedna z takich przeszkód unieważniających zachodzi, a małżeństwo mimo to zostanie zawarte, to jest ono nieważne i każdej chwili może być przez władzę kościelną za nieważne ogłoszone, choćby kilka lat po ślubie i choćby już dzieci były z tego „małżeństwa“. Tak się też nieraz dzieje, gdy przeszkoda zostanie wykryta. Nie jest to jednak żaden rozwód, lecz tylko deklaracja czyli orzeczenie sądu duchownego, że dane małżeństwo było nieważne, i że przeto rzekomi małżonkowie mogą się rozjeść i nowy ślub zawrzeć.

Wiedzą o tem dobrze ci, którzy chcieliby otrzymać rozwód, choć ich małżeństwo było ważnie zawarte. I dlatego co czynią nieraz? Oto zmyślają jaką przeszkodę małżeńską, fałszywie zeznają sami i do krzywoprzysięstwa nakłaniają pieniądze i namową świadków i rzeczoznawców, i tak uzyskują czasem od okłamanego sądu kościelnego rozwód a raczej wyrok, że mogą się rozstać i ślub kościelny wziąć z inną osobą. Straszna to zbrodnia już nietylko cudzołóstwa w nowym małżeństwie, ale i krzywoprzysięstwa i świętokradztwa; bo znieważenia Sakramentu. Ale za takie przypadki nie odpowiada Kościół, lecz tylko zbrodniczy małżonkowie i ich poplecznicy.

Jeżeli jednak małżeństwo chrześcijańskie ważnie jest zawarte i dokonane, wtenczas żadna władza ani moc ludzka nie jest w stanie węzeł taki rozwiązać. Śmierć tylko jedna czyni stronę żyjącą wolną na nowo. Za życia zaś obojga małżonków Kościół św. nigdy nie daje im rozwodu, ale w razie wiarołomstwa lub innych słusznych przyczyn, godzi się co najwyżej na t. zw. separację, czyli na osobne mieszkanie małżonków.

J. K.

Dom ociemniałego żołnierza.

Bydgoszcz jest od dawna centrum ociemniałych dla tych dzielnic Polski, które należały przed wojną do Prus. Tam znajduje się zakład rządowy dla ociemniałych, który przejęło Starostwo Krajowe w Poznaniu, tam również istnieje Schronisko dla niewidomych kobiet.

Zakłady te stale są przepełnione niewidomymi od urodzenia i tymi, którzy przy pracy zawodowej zaniewidzieli. Jeżeli już przed wojną w zakładach niewidomych było przepełnienie to zrozumieć łatwo, iż zabrakło w nich miejsca podczas wojny światowej, na której straciło wzrok w województwach poznańskim i pomorskim przeszło 120 żołnierzy. Za czasów niemieckich wysyłano ociemniałych żołnierzy do Niemiec, gdzie stworzono dla nich szereg przytułków. Zanim zaś ociemniały opuścił szpital wojskowy, rotaczka nad nim opiekę Czerwony Krzyż. Społeczeństwo rozumiało bowiem, że ze wszystkich inwalidów wojennych oni najwięcej potrzebują opieki pieczołowitej. Ich to bowiem wojna pogrążyła w wieczną ciemność, odjęła im wszystkie wrażenia, których człowiek doznaje za pomocą wzroku. Trudno zrozumieć tragizm chwili, w której żołnierz ociemniały uświadomi sobie, że oczy jego już nigdy nie ujrzą drogich mu osób, ani słońca, że smutek jego i zmęczenie nie rozproszą się pod wrażeniem piękności natury. Dla ociemniałego niema wsi polskiej, niema lasów, ani wiosny, ani jesieni. Została mu do końca życia wieczna, bezgwiezdna noc.

To też niema chyba człowieka, któryby na widok ociemniałego nie odczuwał współczucia. Lecz współczucie samo nie wystarczy. Trzeba ociemniałym ulżyć ich kalectwo, stworzyć im nowe warunki życia, któreby im dały zadowolenie i zapomnienie tego, co stracili. Z tej myśli wychodząc, powstała w roku 1919 przy Czerwonym Krzyżu

w Poznaniu Sekcja opieki nad ociemniałym żołnierzem. Działalność Sekcji była początkowo ograniczona i polegała na udzielaniu ociemniałym doraźnych zapomóg, ponieważ z otrzymywanej renty nie tylko ich

rodziny, ale i oni sami utrzymać się nie mogli. Niektórym niewidomym postarano się o zajęcie, na jakie pozwalało im ich kalectwo. W tym czasie zorganizowano też pierwszy kurs pisowni punktowanej, a pannie, które pisma tego się wyuczyły, przepisyują dotąd książki i tworzą dla ociemniałych bibliotekę z najlepszych dzieł literatury. Jednakże opieka nad ociemniałym była połowiczną i niedostateczną, dopóki nie powstała dla nich szkoła z internatem, pozwalająca wszystkim ociemniałym wyuczenia się odpowiedniejszych zajęć, w pierwszej linii szczerkarkstwa i koszykarstwa. Ofiarność społeczna na cele Czerwonego Krzyża pozwoliła na kupno domu z ogrodem w Bydgoszczy przy ul. Grodzko 23 jesienią 1920 roku. Na Dom ociemniałych wybrano Bydgoszcz ze względu na istniejące już tam zakłady ociemniałych z odpowiednio wyszkoloną ciałem nauczycielskim. Trzeba było Dom zaopatrzyć w najniezbędniejsze sprzęty, bieliznę, ubrania, przede wszystkim zaś trzeba było sprowadzić warsztaty, nie-

zbędne do nauki i surowiec. Prace te zajęły kilka miesięcy, poczem w styczniu 1921 roku przybyli do Bydgoszczy pierwsi uczniowie. I od tego czasu

załudnił się Dom ociemniałego. Coraz to nowi przybywają do niego mieszkańcy znajdując w nim to, co im zastępuje wzrok utracony, mianowicie zadowolenie w pozytywnej pracy. Dom pomieścić może 20 ociemniałych. Kształcą się oni partjami, a po ukończeniu edukacji wracają do miejsca rodzinnego, zaopatrzeni przez Czerwony Krzyż w warsztat i stają się samodzielnymi rzemieślnikami. Na ich miejsce przyby-



Fot. Spiżewska, Bydgoszcz.

Dom ociemniałego żołnierza w Bydgoszczy.



Nauka czytania.

wają nowi uczniowie. A uczniowie to chętni i pilni, którzy wdzięcznym sercem przyjmują rękę podaną im do pomocy.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że w Domu bydgoskim ociemniiali zajęci są cały dzień nauką rzemiosła. Nauka ta wypełnia większą część ich dnia, a nauka to intensywna i forsowna, jeżeli się zważy, że ociemniiali uwagą i zmysłem czucia zastąpić musi wzrok. Lecz po nauce przychodzą godziny rekreacji, wypoczynku i rozrywek. Panie z Komitetu opiekuńczego, który się zawiązał przy Czerwonym Krzyżu w Bydgoszczy, przychodzą do Domu i czytują ociemnialym książki i gazety. Są dni w których ociemniiali chodzą na koncerty i do teatru. Wieczorami bywają tańce, bo ociemniiali — lubią tańczyć. Nie zbywa w Domu i na artystach z łaski Bożej. Są między nimi poeci i tacy, którzy mają zdolności muzyczne; ci ostatni biorą lekcje muzyki, od-

dając się jej z całym zamilowaniem. To też z prawdziwą przyjemnością nawet człowiek muzyczny słucha popisów solowych ociemnialych wojaków na fortepianie lub skrzypcach, jako też zespołów muzycznych i to nie tylko mazurków i kujawiaków, ale i nokturnów Chopina, tańcy Brahmsa i sonat Mozarta.

Dwuch jeszcze rzeczy potrzeba ociemnialym do względnego szczęścia, a mianowicie zegarków kieszonkowych z wypukłymi godzinami na cyferblacie, gdyż nie wszyscy jeszcze dostali je od Czerwonego Krzyża i tresowanych psów-towarzyszy.

Niestety narażenie nie ma mowy o tem, aby Czerw. Krzyż mógł darować im psy, które specjalnie dla ociemnialych tresuje się w Niemczech, tem mniej można myśleć o założeniu instytutu tresowania psów, gdyż instytut taki pochłoniąłby dziś wiele milionów. A milionów tych potrzeba na dalsze prowadzenie Domu, na utrzymanie tego, co już jest

Śmierć wiejskiego kapłana.

Wspomnienia.

Była piękna, letnia noc. Księżyc świecił jasno, w oddali, to tu, to tam błyszczały świętojańskie robaczki, ucichły już w gajach ptaszące głosy. Siedziałem przy oknie, wpatrzony w cuda przyrody i wielbiąc w myśli Stwórcę.

Była właśnie godzina 11-a, gdy równocześnie u bramy wejściowej na noc zamykanej rozległ się dźwięk dzwonka niecierpliwą ręką szarpniętego.

Jedna z pośród grona służących wybiegła, aby bramę otworzyć, ale zaspana, przestraszywszy się własnego cienia, z krzykiem odbiegła do sypialnej swej izby.

Niezwykły o tej porze gwar rozbudził wszystkich, zeszedłem sam na dół, aby otworzyć.

U bramy stał włościanin, ledwie odziany, czoło jego pokryte było kropkami potu, wargi mu tak drżały, że

ledwie zdołał wyksztusić ze zdławionego żalem gardła: — Nasz ksiądz umiera, wielmożny panie, chodźcie się z nim pożegnać!

Nie zwłószcząc, w tej chwili z nim poszedłem. Wszliśmy w mrok cienistego szpaleru. Przez gęste liście krzewów nawet blask księżyca przedrzeć się nie mógł. Otoczyła nas tajemnicza cisza nocy, tylko pod stopami szeleściły uschnięte gałązki, a kędyś, nad głowami odezwał się złowieszczy krzyk puszczyka.

Nie mogłem mówić, w myśli powtarzałem tylko jedno, dopiero posłyszane zdanie: „Nasz ksiądz umiera.” Za to mój towarzysz mówił ciągle, jak gdyby czuł potrzebę, aby dać ujście uczuciom rozpierającym mu piersi, a słowa jego bezwładne obracały się ciągle wokół i mówił ciągle o tym, który już oto miał odejść.

— Gdy on umrze — szeptał — jedno oko w parafii nie pozostanie suchem, on nas tak kochał, że go nigdy zapomnieć nie będziemy mogli. Bogactwa to on po sobie nie zo-



Ociemniiali przy warsztatach.



Orkiestra ociemnialych

stawi; nie darmo sobie skąpił i żałował wszystkiego, byle mieć więcej do rozdania. Na książki i obrazki dla dzieci nigdy nie żałował grosza. Dzięki staraniom i cierpliwości naszego księdza, wszyscy we wsi czytać i pisać umiemy. Nasz ksiądz nie znoślił nieuciwa, przy każdej sposobności nawoływał nas do nauki. Gdy raz jakiś głupi chłopak odezwał się: „Na co się zda czytanie, skoro i bez tego do nieba dostać się możesz?” Twarz naszego księdza, taka zwykle łagodna, zapłonęła jak ogień, że aż się chłopak przeraził, w głos rozplakał i z leniucha pilnym się stał od tej chwili. On nas wszystkich młodszych chrzczył, wszystkim nam według swej woli imiona nadawał, a jego głos brzmi tak słodko, że, gdy raz przemówi, dźwięk jego tygodniami całymi w uszach brzmi ciągle. Ach, za tym głosem naszego księdza szłoby się w ogień i wodę i własne serce z piersi by mu się oddało. Jakież on skromne ma wymagania! Ubiera się ubogo, a jednak chędogo, nie znosi plam i dżur, wiedzieliśmy wszyscy o tem i dla tego wystrzegaliśmy się tego, co jego wzrok raziło. Często całymi dniami przebiegał okolice i chorym radą służył, lepszą nieraz, od najmędrszych lekarzy.

Byłem tak zaprzątnięty własnymi myślami, że niewiele zważałem na pływające jak gdyby wezbranym potokiem słowa wieśniaka, które w miarę zbliżania się naszego do celu, ucięto zdławione w gardle nową falą łkania.

Była już północ, gdy zbliżyliśmy się do plebanji. Na wzgórku biały, niewielki domek, a w pobliżu jego również nie duży, wiejski kościółek, tonęły wśród zieleni drzew i krzewów najróżniejszych, a w powietrzu unosiła się słodka wonia kwiatów. Drzwi domu były otwarte, wszedłem przez przedpokój do pokoju i zbliżyłem się do łóżka umierającego. Wokoło stało pełno kobiet, mężczyzn i dzieci, przed domem i w sieni tłoczyli się ci, dla których miejsca zabrakło i którzy czekali, by z kolei także mogli wejść i pożegnać ukochanego pasterza. Dziwne wywarli na mnie wrażenie ci ludzie, na pół w pospiechu odziani, z zaspaniem i pełnem łez oczyma, którzy z trudem powstrzymywali łkanie i westchnienia. Jakiś bosi staruszek ocierając oczy barankową czapką szeptał bezzębniemi ustami:

— Sen uciekł nam z oczu, odkąd nasz ksiądz nam zachorował.

Z tłumu otaczającego łóżko wyrwała się ku mnie kobieta o opalonej, pomarszczonej twarzy i wyciągnawszy błagalnie ręce wołała łkając:

— O, panie, uzdrowcie nam naszego dobrodzieja! Jakże my na tej ziemi niedoli żyć będziemy bez niego? On przez tyle, tyle lat pomagał mi dźwigać ciężar życia, on mi duszę uzdrowił, nieraz łzy w oczach jego widziałam, gdy młuchą była na głos Boży. Raz, w Wielki Piątek, ujął mnie za rękę i do krzyża przywiódł i modlił się głośno:

„O, Jezu Chryste, Panie nasz miły,
Poddanie, ufność, ból Twój słodziły,
Ty, coś śmierć zwalczył, Chryste nasz Panie,
Daj i mnie także w troskach wytrwanie!
Niech na Twem sercu wypłaczę troski,
Zbawco mój Boski!”

Głęboko w duszę zapadły mi te słowa, nie mogłam ich zapomnieć. Ile razy w nieszczęściu je powtarzałam, zdawało mi się, jak gdyby wszyscy Święci i Aniołowie przy mnie klęczeli i modlili się wraz ze mną.

Gdy kobieta umilkła, przypadła mi z płaczem do nóg mała dziewczynka, podnosząc ku mnie rączkę z świętym obrazkiem, przedstawiającym Jezusa, pachołę i św. Jana Chrzcięcia, który Pacholeciu za odwiedzenie go na puszczy podaje przy źródleku świeżą wodę i leśne poziomki, dziewczętko prosiło:

— O panie, połóżcie mu ten śliczny obrazek na sercu, dostałam go od naszego księdza w dniu 1. Komunii świętej, może mu on ulgę przyniesie.

Wysłuchałem prośby dziecka i zadość jej uczyniłem. Z trudem oderwałem dziewczynkę od mych nóg i posadzi-

łem na krześle, gdzie pełna ufności szeptała drżąc ze wzruszenia całym ciałem:

— Tak, tak, to mu pomoże!

Co za dziwny widok, ten dziecięcy obrazek na piersiach wiekowego już, walczącego z śmiercią kapłana. Pierś jego pracowała z wysiłkiem, obrazek na tej falującej utrudnionym oddechem piersi podnosił się i upadał.

Zdawało się rzeczywiście, że chory na chwilę doznał pewnej ulgi, a ja, moje przybycie o niezwyklej porze, jak gdyby mu siły dodało. Z wysiłkiem dźwignął się i czule ręce moje uściśnął, lecz wnet znowu opadł na poduszki, lecz mimo bardzo silnej gorączki, zdawał się nie tracić przytomności umysłu. Był pogrążony w jakimś półśnie słodkim, zupełnie w nim poddany woli Chrystusa i przepojony miłością ku Niemu.

Umierający był wielkim wielbicielem przyrody, kochał drzewa, krzewy i kwiaty tak prawie, jak dzieci, jak przyjaciół. Sam je podlewał troskliwie i mówił do nich jak do istot żywych.

Pierwsze promienie budzącego się dnia zajaśniały do okna pokoju umierającego i głośne pianie koguta powitało światło dzienne. Wargi chorego poruszyły się.

— Budzą się moje kwiaty — wyszeptał cicho do otaczających — i oczy wilgotne od rosy niebieskiej przecierają. Jak czysto i ufnie ich wzrok podnosi się w górę, ku Bogu wszechmiłości, gdy swój pacierz — woń słodką, ślą ku niebu. Wszyscy Święci i Aniołowie cieszą się tej modlitwie, a one szeptać: To ksiądz nas tak troskliwie hodował ku czci Najwyższego. Gdy umrę, wszystkie moje kwiaty pójdą za mną, a lud mówić będzie: „Jakże on kochał kwiaty i dzieci!”

Chory poruszył się, otworzył oczy i zdawało się, że w myśli widzi własny swój pogrzeb, który do odległego o kilka minut parafialnego wyruszy kościoła: Oto zmęczeni ludzie niosący zwłoki, pochód stanął, by spocząć. Wokoło tyle zieleni, ptaszki nucą hymn pożegnalny, kwiecie drzew owocowych wonnym różowawym puchem ściele się na trumnę, wszyscy padają na kolana, modlą się, złote blaski słoneczne chcą przedrzeć się przez drewniane wieko, rozgrzać zastygłe zwłoki, ludzie płaczą, ciepły wietrzyk łączy im osusza. A tam, od kościoła, ku któremu żałobny pochód zdoła, biją hymnem powitalnym wszystkie dzwony, kapłani śpiewając idą ze zwłokami towarzysza: „Oto ziarno posiane przez Boga już dojrzało czasu żniwa!”

Choremu wróciła znowu zupełna przytomność, obejrzał się uważnie dokoła i począł Bogu dziękować, że mu na razie tak dobrze, że nic go nie boli.

— Dobrze się czuję doktorze, — zapewniał — oddycham bez trudu, lekko mi, nic mnie nie boli, nie cierpię. Wszystkie moje grzechy Chrystus miłosiernie mi przebaczył.

Ongi, gdy on, obecnie umierający objął pracę duszpasterską w tej wiosce znalazł ją zaniedbaną pod każdym względem. Poświęcił się jej z miłością i zupełnem oddaniem, aczkolwiek nie miał funduszy, ażeby ją od razu podnieść materialnie, swym wpływem jednak tak na lud podziałał, iż utrzymywana w czystości i porządku, wioska zupełnie inaczej się przedstawiała.

Oprzytomniawszy na chwilę, pomyślał o ukochanym swoim kościółku.

— Jakież cudny jest dom Boży! Wszyscy w nim jesteśmy u siebie, jak gdyby jedna, najbliższa rodzina, święte zjednoczenie dusz w Chrystusie. A czystość tego przybytku przypomina nam obowiązek czystości duszy, myśli i ciała, aby nie było nienawiści i zemsty wpośród członków Chrystusowych!

Przy tych słowach, szeptanych z wysiłkiem, z lewego oka kapłana stoczyła się wzdłuż policzka łza czysta, jak perła i mówił dalej:

— Tak, jesteśmy członkami Chrystusa Pana, a gdy za życia zawsze o tem pamiętamy, śmierć nasza lekka jest i słodko jest duszy, że odchodzi do Stwórcy,

(Dokończenie nastąpi.)

WISŁAWA.

DLA CIEBIE, POLSKO!

POWIEŚĆ Z WALK POLSKO-UKRAIŃSKICH.

(Dokończenie.)

Czerwcowy, czarami młodego lata tchnący dzień: góra niebo bez skazy i złoto słoneczne, na ziemi soczysta zieleń przetykana kwieciami, chór słowików w powietrzu. — Wczesną godziną zaglądał do państwa Lewińskich gość z karabinem na ramieniu. Gospodarz powitał go tonem żdziwienia:

— Szwagier przychodzi już po mnie? Wszak zbiórka Milicji obywatelskiej na Cytadeli oznaczona dopiero na dziewiątą.

— Tak — potwierdził pan Świrski. — Chciałbym jednak wypocząć wpraw u was po służbie nocnej. Do domu mam spory kawał...

— Racja! Wypijemy zaraz śniadanie. Przybysz oznajmił spiesząc już do kuchni pani domu:

— Po szwagrowę przyjdzie Krzysia ze Zbyszkciem. Nieomal równocześnie zabrzączał dzwonek u drzwi wchodowych.

— Otóż i oni! — roześmiał się gospodarz. — Z pewnością Zbysch przynaglił siostrę, by się przypadkiem nie spóźniła...

W słowa jego wpadł pełen zdumienia okrzyk niewieści:

— Kostuś!

Panowie pospieszyli do przedpokoju: przed nimi stał młodzian w cywilnym ubraniu. — Pan Lewiński znieruchomiał pod wpływem niespodzianki, pan Świrski wziął gościa w ramiona, przepłatając uściski słowami:

— A toż cud, cud prawdziwy! Byliśmy pewni, że już dawno nie żyjesz...

Młodzieniec rzucił się na szyję przytomniącemu zwolna stryjowi. Zaś pani Lewińska, zapominając o śniadaniu, które stygło w kuchni, spytała żywo:

— Jakaż to drogą dotarłeś, Kostku, do nas?

— Stryjenko złota! — odparł z bladym uśmiechem. — Dotarłem do celu dzięki jedynie odgrywanemu ciąglej komedji: tu podawałem się za Polaka, tam za Rusina jak wypadło. Inaczej nie byłbym dziś u was... a Bóg świadkiem, że nie mogłem znieść dłużej tęsknoty, trapiącej mnie dniem i nocą.

Oblicze młodzieńca zdradzało dziwną grę uczuć: radość promienną osnuwał raz poraz posępny cień.

— Kostku! Nie zobaczysz już dziadka... — westchnął pan Lewiński.

Zaprowadziwszy bratanka do okna, dodał, wskazując na ogródek w podwórzu:

— Tam zieleni się jego tymczasowa mogiła... białą na niej krzyż.

Głęboki smutek odbił się w twarzy młodziana.

— Ach! Cóż byłbym dał za to — rzekł — by dziadziś umierał przynajmniej z tą uciechą, że wnuk jego nie skalał ręki bratnią krwią... Tak go przecież myśl owa dręczyła.

— Któż ci to mówił? — zdumieli się równocześnie oboje Lewińscy.

— Janek...

— Widziałeś go? Gdzie... kiedy?

Napadli stryjostwo Kostka nerwowo. — Skłonił głowę takim ruchem, że dreszcz przejął obecnych.

Pani Lewińska umilkła; mąż jej spytał lęklwym naraz szeptem:

— Czy przebywa on jeszcze w tych strasznych barakach?

Konstanty milczał.

— Mówże, na Boga! — przynaglił go stryj.

— Janka już tam niema...

Odpowiedział głosem tak dziwnym, że z piersi pani domu wypadł krzyk bólu:

— Nie żyje!

— Umarł na tyfus... przed dwoma tygodniami... — potwierdził ledwie dosłyszalnie.

Oniemieli wszyscy pod obuchem niespodziewanego ciosu. Aż pan Lewiński zaczął rzucać półgłosem hłobowe domysły:

— Musiał biedak nasz przymierać w tem piekło głodem... może go bito, jak innych... A może zaraził się chłopak, leżąc na barlogu po jeńcu, zmarłym na tyfus i skończył w niechlujstwie, bez opieki lekarskiej, bez wygod...

— Nie, stryju! — zaprzeczył Kostek żywo. — Janek leżał w szpitalu, pod troskliwym okiem lekarzy.

— Opowiedz nam wszystko — zażądał pan Świrski.

Młodzian, spełniając życzenie, zaczął:

— W podróży mojej spotkałem jednego ze znajomych oficerów, który zaczął mnie słowami: „Wiesz, kolego: w Kossaczowie przebywa młodzianutki jeniec Lewiński, tak bardzo do ciebie podobny, że musi być chyba twoim krewniakiem. Usłyszawszy to, zboczyłem natychmiast z drogi, chcąc sprawdzić na miejscu stan rzeczy. Po długich zabiegach, dzięki protekcji, no i monecie — udało mi się przestąpić próg baraków. Janek już gorączkował... jakże się nieborak widokiem mojej osoby ucieszył!

Łza zaszyła ciemne źrenice Konstantego.

— A to tembardziej; gdy się dowiedział, że ciebie, Kostku, wśród walczących nie było! — uzupełnił pan Świrski. — Cierń ten bolesny i w jego tkwił sercu.

— Za mojem staraniem — podjął znów młodzian — przeniesiono chorego do szpitala. Czuwał nad nim lekarze, ja otoczyłem go możliwemi wygodami. Niestety: wycieńczony organizm nie przetrzymał gorączki tyfusowej... Janek zgasł lekko na moich rękach, szczęśliwy świadomością, że Lwów jest wolny.

Skończył. Ciszę, pełną wspomnień żałobnych, przerwał rzeźki głos dzwonka. Otworzyła gościom Maryś, zajęta sprzątaniem przedpokoju.

We drzwiach jadalni zjawiła się Krzysia i... stanęła, jak wryta. Raz, drugi przetarło dziewczę oczy dłonią, nie mogąc uwierzyć błogiej rzeczywistości; sądziło, że złudzeniem słuchu jesto krzyk zdumionego Zbyszka.

— Kostuś przyjechał!

Dopiero gdy młodzian podszedł do niej, padła mu z cichym płaczem w ramiona. — Zbawiennie podziałało na żalobę starszych szczęście młodej pary.

— Ojczyźnie oddaliśmy synów naszych — odezwał się rzewnie pan Świrski. — Te dzieci jednak zastąpią nam zmarłych bohaterów.

Konstanty przypadł do rąk stryjostwa.

— Tak, zastąpię wam Janka, opiekunowie drodzy!

Pan Lewiński, opanowując wzruszenie, rzekł rażniej, acz z wielką goryczą:

— Wiesz, Kostek, że wobec dzikości współwyznawców naszych, wstyd mi doprawdy, że jestem Rusinem...

— Wierzę, stryju! — przyznał młodszy. — I mnie lżej było tam, gdzie podawałem się za Polaka.

— Pragnąłbyś może zmienić obrządek? — spytał pan Świrski niedowierzająco.

Lecz Krzysia, wiedzona delikatnością, zaprzeczyła żywo:

— Kostuś, ojczulku, zostanie nadal Rusinem, lecz nie Ukraincem, broń Boże!

— Słusznie, Krzysiu! — przytaknął młodzian gorąco. — Chcę dowieść życiem całem, że szczerzy Rusin jest, był i będzie przyjacielem Polaków.

— Bedziemy też wspólnie pracowali nad zjednoczeniem i zgodą obu narodów! — dodała Krzysia z rozbłysłymi oczyma.

Wtem Zbyszek, który kręcił się nerwowo po jadalni, zawołał niecierpliwie:

— Chodźmy już nareszcie na Cytadelę... Przyśląlbym, że się spóźnimy!

Na zielonych błoniach Cytadeli zgromadził się wielotyśięczny tłum, zamieszkujący setki domów, które skupiły się w pięknej dolinie lwowskiej, otoczonej kręgiem sinych wzgórz.

Przy ołtarzu polowym odprawia arcybiskup w asyście biskupów uroczystą mszę. św.; zebrali się tutaj wybrańcy miasta i dostojnicy wojskowi; dalej błękitnieją mundury bohaterów z nad Gopla i Warty.

Nabożeństwo dobiegło końca. Raz jeszcze wygłasza ktoś słowa zbiorowej podziękii silnie, donoś-

nie, tak, iżby zapadły one głęboko, na zawsze w duszy każdego Wielkopolanina.

Zabrzmiął srebrzysty głos trąbki. Poruszenie wśród mrowia głów ludzkich. Płyną szepty:

— Defilada Poznańczyków!

Ruszyły z miejsca błękitne zastępy: człek w człeka na schwał, rosły, barczysty, żelaznych ramion.

Na Cytadeli zahuczał huragan okrzyków:

— Żołnierzom wielkopolskim chwała i cześć!

Mężczyźni odkryli głowy, kobiety powiewały chustkami, młodzież zęgnęła maszerujących deszczem kwiatów.

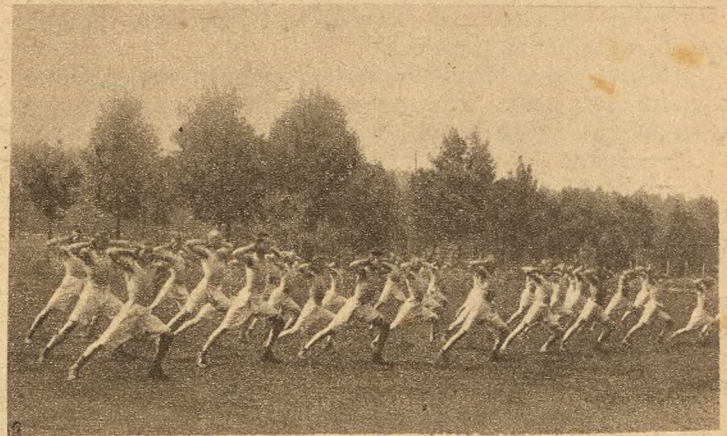
Salutują bohaterzy, dziękują za owację; ten i tamten chwytą w przechodzie woniejącą pamiętkę.

Pluton za plutonem znika z błoni Cytadeli; za każdym płynie gorące życzenie lwowian: „wszelkiego dobra dla Poznańskiej Ziemi”.

Z kursu dla instruktorów młodzieży w Biedrusku.



Gen. Raszewski w otoczeniu nauczycieli po lekcji gymnastyki.



Pokazowa lekcja gymnastyki.



Walka w szermierce.

Fot. Atelier Rubens (Czarnecki), Poznań.



Rzut oszczepem.